

**O Camino Anyi Niewierry,  
laureatki ThrillZone Award za najlepszy thriller  
niderlandzkojęzyczny oraz dorocznej nagrody  
platformy czytelniczej Hebban**

*W kolejnej książce po nagrodzonej powieści Het bloemenmeisje autorka ponownie podnosi sobie poprzeczkę. Camino jeszcze mocniej trzyma w napięciu.*

„De Telegraaf”

*Camino to najlepsza książka tego lata. Doskonały thriller, niewiarygodnie wciągający.*

Mezza AD

*Anya Niewierra po mistrzowsku snuje pełne napięcia historie. W Camino umiejętnie łączy obecne na świecie zło z dobrem, jakie również można spotkać na naszej planecie.*

„Nederlands Dagblad”

*Akcja Camino rozgrywa się we Francji, lecz daje także wgląd w wojnę w bylej Jugosławii. Anya Niewierra spleta oba wątki w pelen napięcia thriller.*

„de Volkskrant”

*Na tle dzikiej przyrody centralnej Francji toczy się emocjonująca gra w kotka i myszkę między myśliwym a jego niczego nieświadomą ofiarą.*

„ZIN”

*W książce Camino, w której kluczową rolę odgrywa wojna na Bałkanach, autorka przewyższyła samą siebie.*

„Limburgs Dagblad”

*Camino to niezwykle ekscytująca i trzymająca w napięciu lektura. Można się z niej wiele nauczyć.*

„L1 Cultuurcafé”

Tłem niniejszej książki są miejsca i wydarzenia historyczne, jednak opowiedziana w niej historia jest fikcją. Podobieństwo do poszczególnych postaci czy organizacji nie jest zamierzone.

Tytuł oryginału: *De Camino*

© 2021 by Anya Niewierra

Originally published by Uitgeverij Luitingh-Sijthoff B.V., Amsterdam.

All rights reserved. No text and data mining allowed

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2025

Copyright © for the translation by Ida Wersalik

Opieka wydawnicza: Ewelina Tondys

Opieka redakcyjna: Anna Małocha, Dagmara Małysza

Przyjęcie tłumaczenia: Olga Niziołek

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adaptacja makiety na potrzeby wydania, adiustacja, korekta i łamanie:

Pracownia 12A

Mapa: Crius Group, Hulshout

Emoji w książce: Shutterstock

Promocja i marketing: Zuzanna Molińska

Projekt okładki: Eliza Luty (front), Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce: .....

Fotografia autorki: .....

ISBN 978-83-8135-492-9



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

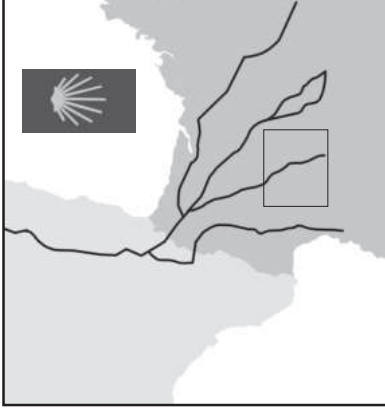
*Fransowi.  
A Ty jesteś moim słońcem.*

„Pierwszą ofiarą śmiertelną każdej wojny  
jest zdrowy rozsądek”.

A. den Doollaard, holenderski pisarz (1901–1994)

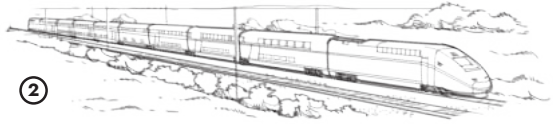
„Jeno wychodzone myśli są coś warte”.  
Fryderyk Nietzsche, niemiecki filozof (1844–1900),  
tłum. Stanisław Wyrzykowski

Drogi prowadzące do  
Santiago de Compostela



# VIA PODIENSIS

Lyon



②

Liège-Guillemins

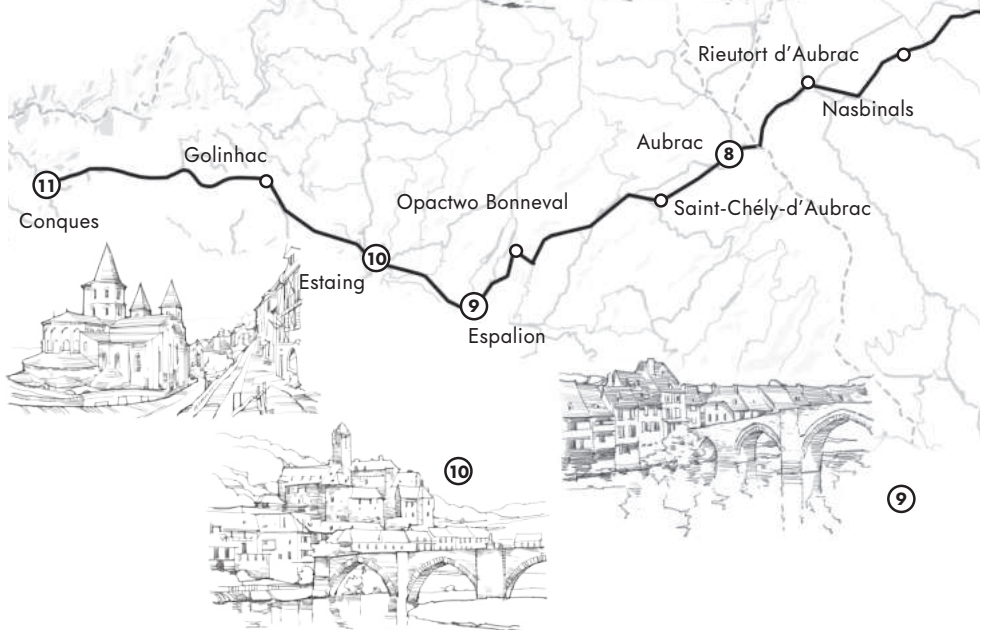
①



⑪



⑧



⑪

Conques

Golinhac

Estaing

⑩

Espalion

⑩

Opactwo Bonneval

Saint-Chély-d'Aubrac

Aubrac

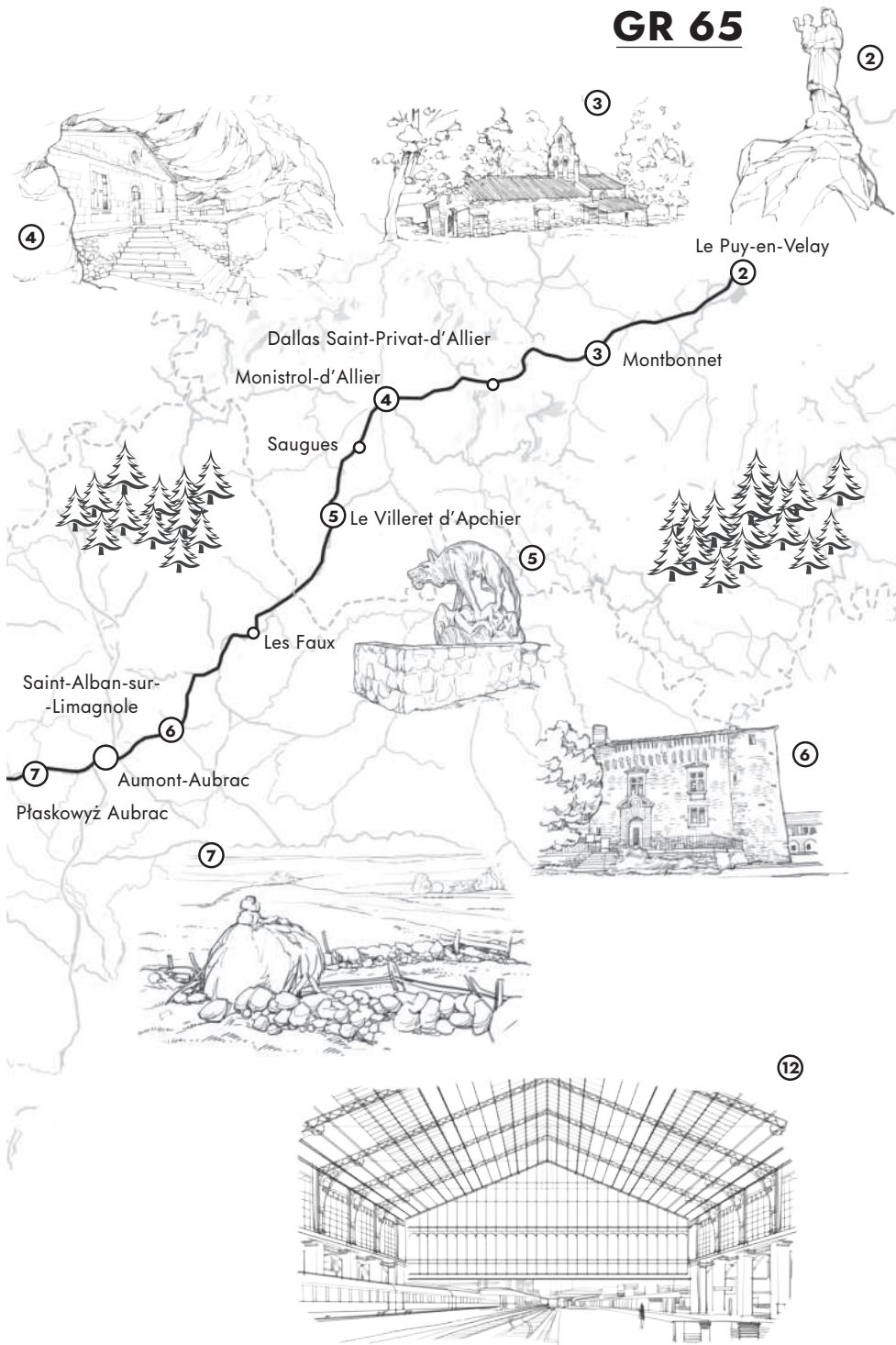
⑧

Rieutort d'Aubrac

Nasbinals

⑨

# GR 65



## **Prolog**

**6 sierpnia**

### **Na szlaku do Santiago de Compostela, w lasach w okolicy Conques we francuskim departamencie Aveyron**

*Powolnym ruchem zdjął plecak, położył go na miękkim mchu i uklęknął. Cały ranek był mżysty, lecz właśnie w tym momencie chmury się rozstąpiły i zaświeciło słońce. Jego promienie padły na plecak i biała muszla Świętego Jakuba rozbłysła. Jakby siła wyższa chciała podkreślić znaczenie tej chwili. Coraz głośniejsze rozbrzmiewał śpiew ptaków i tak jak w 1995 roku w powietrzu rozchodził się korzenny zapach parujących paproci.*

*Jego rozpięta koszula powiewała na wietrze. Czarne kręcone włosy na piersi były mokre od potu i lśniły w jasnym świetle. Moje myśli spowolniły i widziałem szczegóły, których zwyczajnie bym nie zauważył, takie jak kolor jego turystycznego ubrania. Szarość przypominała odcień wyblakłego kamiennego krzyża stojącego dwa metry dalej.*

*Wyciągnął z pochwy nóż myśliwski i zbliżył błyszczące ostrze do gardła. Zamknął oczy i wymamrotał kilka słów. Stałem tam obok niego, lecz nie mogłem się ruszyć. Mogłem jedynie patrzeć na to, co wypełniało się na moich oczach. Czy to działo się naprawdę?*

*Wyprostował plecy, jeszcze raz wziął głęboki wdech, wykrzyczał Twoje imię i przeciął sobie głęboko gardło, po czym, rżąc, upadł z tępym odgłosem twarzą na ziemię. Krew lała mu się z rany i wsiąkała w piaszczysty trakt Camino.*

*Nadal nie mogłem się ruszyć. Cały się trząsnę. Na palcu jego lewej ręki dostrzegłem złotą obrączkę i pomyślałem o Tobie, o kobiecie, która przywiodła go do tego bohaterskiego czynu. Lotte...*

# **JEDENAŚCIE MIESIĘCY PÓŹNIEJ**

13 lipca

Lotte w Bośni i Hercegowinie

Huk wodospadów jest imponujący. Cóż za hałas! Schylam się, podnoszę urnę z prochami Emila i przyciskam ją do wilgotnej bluzki. Idę jeszcze chwilę z nurtem rzeki, rozglądając się dookoła. Tak, to odpowiednie miejsce na zdjęcie. Zrzucam adidas, robię kilka kroków po dużych otoczakach i znowu nasłuchuję. Dziwne. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że rzeka może wydawać tak wiele różnych odgłosów: od łagodnego szemrania po wściekły łomot.

Wysoka skała z pieniącymi się wodospadami zdaje się pochylać do przodu. Wciągam nosem powietrze. Spieniony nurt niesie ze sobą charakterystyczny zapach błota i lasu po ulewie. Ustawiam urnę ponownie na ziemi, przeskakuję po nagranych słońcem głazach w kierunku nurtu, chwytam cienki pień drzewa i wtaczam go do wirującej wody. Huśtając się na falach, mknie w kierunku zakrętu i znika z zasięgu mojego wzroku. Kilkakrotnie wciągam i wypuszczam powietrze. Jeszcze chwila, a pień

dotrze do domu, w którym urodził się prawdziwy Emil Jukić. Willa położona jest w połowie wzgórza kilkaset metrów dalej, w miejscu, gdzie rzeka znowu spokojnie się wije, nie wydając prawie żadnego dźwięku. Słychać tam śpiew ptaków, widać granatową głębię i ciemnozielone wzgórza. Panuje tam spokój. Nieopodal, według starszej kobiety, mieszkał prawdziwy Emil Jukić – dzieci bawiły się tu, w zatoczce wśród szarych skał, gdzie spieniona rzeka zagłusza bicie serca. Tu, gdzie stoję, zostało też zrobione zdjęcie, na którym widać Emila z dwoma przyjaciółmi, zdjęcie, które w 1995 roku wziął ze sobą, uciekając z Bośni.

Zrobimy to tutaj. Cofam się po mosiężną urnę, podnoszę ją, wracam nad wodę, odkręcam pokrywkę urny i wkładam ją do torebki. Na brzegu ozdobnymi literami wygrawerowano: „Emil Jukić”. Mam dziwne odczucie, kiedy czytam jego imię. Widocznie nadal nie pogodziłam się z myślą, że mój mąż wcale tak się nie nazywał. Prawdziwy Emil Jukić zaginął latem 1995 roku – tak powiedział Omer Zečinić, bośniacki adwokat specjalizujący się w sprawach zaginionych osób. Wynajęłam go, by dowiedział się, kim w rzeczywistości był Emil. Rozmawiałam z nim w zeszłą środę w jego biurze w Sarajewie. Prawdziwy Emil Jukić zaginął po tym, jak oddziały bośniacko-serbskiej bojówki wymordowały pół wsi i oczyściły ją ze wszystkich bośniackich Chorwatów i muzułmanów. Dopiero w 2017 roku znaleziono w masowym grobie jego szczątki i je zidentyfikowano. Gdy Omer Zečinić przekazał mi tę informację, najpierw zamilkłam, a potem wybuchnęłam płaczem w jego gabinecie. To takie zawstydzające! Od tej rozmowy czuję cały wachlarz emocji: zdumienie, wściekłość, niedowierzanie i smutek. W hotelu w środku nocy chodzę tam i z powrotem po

pokoju, by chwilę później w panice jednym szarpnięciem otworzyć okno i nabrać do płuc świeżego powietrza. Dzisiaj trzymam się wyjątkowo dzielnie, to oczywiście z powodu chłopców. Instynktowi macierzyńskiemu zawdzięczam tę pierwotną siłę, która pojawia się zawsze, kiedy chodzi o dzieci. Moi synowie nie mogą niczego zauważyć. Nie mogą się dowiedzieć. Jeszcze nie.

Pociągam palcami po wygrawerowanych na urnie literach. Kim w takim razie był? Z kim przez dwadzieścia jeden lat łączył mnie węzeł małżeński? Kim był ojciec moich synów? Wzdycham i ważę w rękach jego urnę. Emil to obecnie kilka kilogramów prochów. Mrugam oczami i znów myślę o jego krępej sylwetce, kwadratowej twarzy, wąskich ustach, głęboko osadzonych piwnych oczach, lekko odstających uszach, czarnych brwiach i sztywnych brązowych włosach, które porastały całe jego ciało. Dokuczalam mu nieraz, nazywając z czułością „moim gorylem”, i prawdę mówiąc, w jakimś stopniu nim był z tymi swoimi topornymi ruchami i ciemnym owłosieniem: człowiekiem gorylem. Znowu słyszę, jak rozmawia przez telefon z którymś z chłopców i z zainteresowaniem pyta, jak mu idzie na uniwersytecie. Przypominam sobie jego szelmowski śmiech, kiedy opowiada „męskie” dowcipy, z których Stefan i Joran też zawsze głośno się śmiali. Albo jego pełen entuzjazmu głos z charakterystycznym akcentem, kiedy pyta o czekoladowe pyszności, których recepturę opracowałam tego dnia w swojej pracowni. Myślałam, że dobrze go znam, ale tak nie było. Jedyne, co z pewnością wiem, to to, że z jego nasienia urodzili się moi synowie. Reszta może być równie dobrze prawdą, jak kłamstwem.

Odwracam się i macham do chłopców, którzy czekają przy samochodzie na mój sygnał. Stefan i Joran trzymają

w rękach białe róże i rozmawiają z Jeleną, studentką dziennikarstwa z Banja Luki, która już od dwóch tygodni wyszukuje dla mnie różne informacje i służy mi za tłumaczkę.

– Tutaj rozsypiemy prochy taty! – odzywam się najgłośniej, jak mogę, żeby przekrzyczeć wodospad, i wskazuję na miejsce, w którym przed chwilą wepchnęłam do wody pień.

Stefan podnosi do góry kciuk i obaj idą w moją stronę.

Wsadzam nos do urny i natychmiast kicham. Rany, a więc to są prochy mojego męża. Schylam się, zanurzam palec wskazujący w wodzie, następnie w urnie, a potem przyglądam się jego szarości. Czyje prochy właściwie rozsypuję? Kim on był? Kiwam się w przód i w tył, próbując się skupić. Emil – bo tak nie przestanie się dla mnie nazywać – zabrał mnie kiedyś w to miejsce. Po niemal rocznej żalobie chcę wyczołgać się z tej emocjonalnej czarnej dziury. Chcę, żeby ta ceremonia przyniosła mi ulgę. Chcę nauczyć się szanować jego decyzję o samobójstwie, bo to właśnie ono stanowi dla mnie problem: już od roku nie mogę poradzić sobie z faktem, że w drodze do Santiago de Compostela Emil podciął sobie gardło swoim jugosłowiańskim nożem myśliwskim.

„On teraz inaczej wygląda”, ostrzegł mnie inspektor francuskiej policji, który wprowadził mnie do kostnicy w Rodez. Stefan objął mnie ramieniem i zaproponował, że to on zidentyfikuje ciało, lecz się nie zgodziłam. Chciałam sama zobaczyć leżącego tam mężczyznę i przekonać się, że to prawda. Nie mogłam uwierzyć, że mój Emil popełnił samobójstwo. To wszystko było pomyłką. Ten mężczyzna w chłodni był kimś innym, byłam tego całkiem pewna. Zmarły był jednak Emilem. Leżał tam, jakby spał. I nagle przypomniałam sobie o jego bliznach

na plecach i zapragnęłam jeszcze raz dotknąć ich palcami. Z siłą, której się po sobie nie spodziewałam, odwróciłam sztywne ciało Emila i pogładziłam jego nierówną skórę. Chwyciły mnie trzy pary męskich rąk i odciągnęły od stalowej płyty. Nie wolno mi go było dotykać. Ale ja już poczułam nierówną mozaikę i jego zimna skóra powiedziała prawdę. Emil nie żył i już nigdy po kąpieli nie wytrę mu blizn rąbkiem swojego ręcznika.

Jak mogłam nie zauważyć, że stracił ochotę do życia? Czy zbyt mocno skupiłam się na sobie? Na swoich czekoladowych kreacjach? Emil po prostu był i nagle go już nie było.

Gdy zbliżały się jego pierwsze pośmiertne urodziny, w mojej głowie rozległ się głos, który wzywał mnie do działania. Tak dłużej być nie mogło. Musiałam wziąć się w garść i zaakceptować to, że Emil znalazł się na drodze, która skręciła w kierunku śmierci. Zaczęłam czytać książki o przeżywaniu żałoby i natknęłam się na opracowanie, w którym opisywano pozytywny rezultat ceremonii ostatecznego pożegnania. „Tak, to dobry pomysł”, pomyślałam, zrobiłam zdjęcie streszczenia i wysłałam chłopcom. „Pożegnamy się z tatą”, napisałam i poprosiłam, żeby na weekend przyjechali do domu o tym porozmawiać. Semestr na uczelni w Amsterdamie dobiegał końca i tak czy siak nie mieli zbyt wiele do roboty. Przyjechali i omówiliśmy to „pożegnanie”. Zadawali dobre pytania. „Gdzie tata czuł się najszczęśliwszy?” Wyjęliśmy album ze zdjęciami i płacząc, wertowaliśmy naszą przeszłość. Zaczęliśmy od narodzin Stefana dwadzieścia jeden lat temu w szpitalu w Heerlen. Choć według Emila był to jeden z najpiękniejszych dni w jego życiu, szkaradny budynek Centrum Medycznego Zuyderland nie wydał nam się odpowiednim miejscem. Gdy przeglądaliśmy

zdjęcia ze spływu kajakowego sprzed kilku lat w Ardèche we Francji, Joran zaproponował wodospady koło bośniackiej wioski, w której Emil się urodził.

„Mamo, tam tata bawił się jako dziecko. Wodospady widać też na zdjęciu, które zrobił podczas ucieczki. I pamiętasz, jak staliśmy nad brzegiem Ardèche, a on nagle się załamał i zaczął płakać? Mówił, że pamięta rzekę, nad którą stała jego wioska. Wspominał, że jako dziecko latem bawił się w tym miejscu, przez wiele lat z rzędu. Przypominasz to sobie, mamo?”

Tak, mama dobrze to pamiętała, bo zszokował ją wtedy stan Emila. Schyliłam się, objęłam go i zaczęłam kołysać jak dziecko. Emil doszedł do siebie i wstał, po czym czule mnie pocałował i we łzach wyznał, że jestem najlepszym, co mu się w życiu przydarzyło.

Nie licząc tamtej chwili na brzegu Ardèche, Emil rzadko opowiadał o swoim życiu w Bośni. „Zbyt dużo w tym wojny”, twierdził. Znałam oczywiście jego oficjalne dane i kilka anegdot z lat dziecięcych, ale niewiele poza tym. Jeszcze do zeszłego tygodnia żyłam w przekonaniu, że Emil był bośniacko-chorwackim uciekinierem wojennym, który w 1995 roku poprosił o azyl w Niemczech. Wiedziałam, że dostał tam pozwolenie na pobyt. Musieliśmy zanieść dokumenty w 1998 roku do urzędu stanu cywilnego, w którym braliśmy ślub, a Emil wkrótce potem złożył wniosek o przyznanie mu holenderskiego obywatelstwa. Wiedziałam też, że między rokiem 1990 a 1995 doświadczył wiele złego, bo było to po nim widać. Jego kość policzkową przecinała szrama, miał też blizny na ramieniu i plecach, cierpiał na szумы uszne. Pojawiły się po tym, jak obok niego wybuchł granat – opowiedział to lata temu laryngologowi, do którego razem poszliśmy.

Wybrałam się zatem w podróż do Bośni, żeby się z nim ostatecznie pożegnać. Przez pierwsze dwa tygodnie planowałam odwiedzić z przewodnikiem miejsca z młodości Emila, mając za wskazówkę zaledwie trzy zdjęcia. Chłopcy zamierzali spotkać się ze mną w ostatni weekend na ceremonii pożegnalnej w jego rodzinnej wiosce. Ta chwila miała wyznaczyć dla mnie granicę między życiem z Emilem a życiem bez niego. Na datę wybraliśmy jego urodziny, żeby w ten sposób podkreślić symboliczny charakter uroczystości. Miałam pożegnać Emila nad jego ukochaną rzeką, przy wysokich wodospadach, w pobliżu jego rodzinnej wsi, w dzień jego urodzin. Choć nadal odczuwałam głęboki smutek, wypełniał mnie też entuzjazm, bo robiłam coś sensownego. Wówczas nie wiedziałam jeszcze, że będę żegnała obcą osobę.

Wycieram palec o spodenki i przelykam niemal całym rozpuszczoną kostkę czekolady. Mój język bawi się jeszcze chwilę kawałkiem mięty, którą wymieszałam z kakao. W poradniku o żałobie było napisane, że powinienam wachać, słuchać, patrzeć, czuć i smakować. W tym ważnym momencie miałam uaktywnić wszystkie zmysły. *Check!*

A teraz chwila upamiętnienia. Stefan i Joran stoją zapłakani obok mnie. Niewyraźnie wypowiadają słowa o miłości i pożegnaniu i dotykają mojego ramienia. Stawiam mocno stopy na kamieniach i głaszczę dłońmi urnę. Zaczynamy. Wdycham i wydycham powietrze. W głowie ponownie odtwarzam film z zeszłego roku, rozpoczynający się 6 sierpnia wieczorem. Siedziałam w piżamie przed telewizorem, kiedy zadzwonił dzwonek. Powlekłam się do drzwi. Dwóch policjantów patrzyło na mnie z powagą i spytało, czy mogę ze mną porozmawiać. Przy

kuchennym stole poinformowali, że mój mąż popełnił samobójstwo na Drodze Świętego Jakuba w okolicach Conques. Jakiś pielgrzym znalazł go przed południem. Powiedziałam, że to nieporozumienie. Mój mąż nigdy nie popełniłby samobójstwa, a oni z pewnością pomylili adres.

Myślę, że łatwiej byłoby mi pogodzić się z jego śmiercią, gdyby spadł ze skały i złamał sobie kark. Gdyby umarł w jakiś normalny sposób. Jego samobójstwo nie było normalne. Nadal nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Jak to możliwe, że mój kochający życie mąż, szczęśliwy, że zwyciężył tego cholernego raka żołądka, ot tak przystawił sobie nóż do gardła i je sobie podciął? I to w dodatku podczas spokojnej wędrowki Drogą Świętego Jakuba, kilka godzin po wysłaniu mi wiadomości o tym, jak bardzo mnie kocha. „Nie, nie!”, pomyślałam po wyjściu policjantów, „Ludzie, którzy popełniają samobójstwo, cierpią najpierw na depresję i wysyłają sygnały, że coś się z nimi dzieje. Z moim Emilem nic się nie działo. Był w dobrej formie i nastroju”. Pojechałam więc do Conques i oświadczyłam francuskiej policji, że to nie mogło być samobójstwo. Emila ktoś zmusił. Krzyczałam, że powinni to zbadać, i pokazałam wiadomości z dużą liczbą uśmiechniętych buziek i serduszek, jednak wnioski śledczych pozostały niezmiennie. Przeprowadzono szczegółowe badania kryminalistyczne. Emil naprawdę popełnił samobójstwo. Nie było co do tego wątpliwości. I tak rozpoczęło się moje szukanie po omacku.

Trzymam urnę w górze i stawiam kilka kroków w wodzie. Chłopcy robią to samo. Rwąca rzeka wiruje wokół moich gołych łydek, jakby chciała mnie ze sobą porwać. Zatrzymuję się, kiedy sięga mi do kolan. Wystarczy.

Chwiejąc się na bosych stopach, odwracam się plecami do wiatru. Pochylam się, zanurzam urnę nieco pod powierzchnię i przechyłam pojemnik. Prochy Emila tworzą w wodzie ciemną smugę, którą nurt zabiera ze sobą.

– Żegnaj, mój kochany Miłku – szepczę, płacząc.

– Pa, tato! – wołają chórem Stefan i Joran i kładą na wodzie róże.

Obejmujemy się. Gdy róże i ciemna smuga prochów Emila znikają, prostuję się, wyciągam przykrywkę z torebki i zamykam pustą urnę. W milczeniu idziemy po chrześzczącym żwirze do samochodu. Jelena dyskretnie pochyla głowę, otwiera drzwi i zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu. Mój oddech jest nierówny, jakbym przebiegła maraton. Ta przekłeta ceremonia pożegnalna nic nie pomogła, znowu ogarnia mnie panika. Otwieram bagażnik, wpycham pustą urnę między walizki i z hukiem zamykam klapę. Następnie idę na przód samochodu i siadam za kierownicą.

– Wszystko w porządku, mamó? – pyta Joran, otwierając drzwi za mną. – Zachowujesz się tak... inaczej.

– Wszystko w porządku. To przed chwilą było dla mnie trudne, ale podjęłam decyzję. – Kładę torebkę koło hamulca ręcznego.

– Jaką decyzję? – pyta Stefan i siada obok mnie. Odwraca twarz w moją stronę.

– Jadę do Francji. – Wkładam kluczyk do stacyjki.

– Do Francji? – upewnia się Stefan, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Ale po co? – słyszę z tyłu pytanie Jorana, który głaszcze mnie po głowie.

– Przejdę trasę pielgrzymki, którą szedł tata.

**26 lipca**

**Mężczyzna w Le Puy-en-Velay  
we francuskim Masywie Centralnym**

Hej, Boris, wszystko gotowe.  
Jestem w Le Puy-en-Velay.  
M.

Odkładam na bok telefon, ponownie wertuję raport o Lotte Bonnet, zatrzymuję się przy jej zdjęciu i przez chwilę mu się przyglądam. Interesująca kobieta. Rozkładam mapę i zaznaczam kolejne noclegi na trasie pielgrzymki. Pojutrze będzie nocowała w hotelu Galain w Le Puy-en-Velay, dlatego ja też dokonałem tam rezerwacji. Na dworcu pojawi się o 17.37. Po zameldowaniu w hotelu chyba będzie chciała coś zjeść. Prawdopodobnie pójdzie na mszę do katedry, bo tak robi większość pielgrzymów. Bagaż zostawi z pewnością w hotelu. Pierwszego dnia pątnicy nie mogą się doczekać, żeby ściągnąć ciężar z pleców. Wtedy spróbuję włożyć jej do plecaka lokalizator. Pojutrze będę ją śledzić na ostatnim odcinku podróży pociągiem, od Saint-Étienne, żeby z bliska zobaczyć, jaka

jest: jak brzmi w rzeczywistości jej głos, jak obserwuje otoczenie i w jaki sposób nawiązuje kontakt z innymi. Podczas wędrówki trasą pielgrzymki sprawiłoby to większą trudność, bo byłbym bardziej widoczny. W pociągu jest dużo ludzi, a to rozproszy jej uwagę.

Boris bierze to zbyt lekko. Chce tylko zapobiec znalezieniu przez nią obciążających informacji, ale już za późno. Ta kobieta stwarza niebezpieczeństwo. Zbyt wiele wie. Trzeba się jej pozbyć, ale jej śmierć musi sprawiać wrażenie wypadku. Nie powinna prowadzić do śledztwa, bo wtedy znajdziemy się w jeszcze gorszej sytuacji.

Ponownie pochylam się nad mapą i zapisuję potencjalne miejsca likwidacji. Wczoraj je odwiedziłem. Najlepiej nadaje się wąski odcinek ścieżki nad rzeką w okolicach Monistrol-d'Allier. Tam mogę zainscenizować kamienną lawinę. Jak już włożę jej nadajnik do plecaka, będę dokładnie widział, gdzie się znajduje. Gdy będzie szła tym wąskim przesmykiem, zepchnę głaz, który dzisiaj przygotowałem. Porwie ją ze sobą w przepaść. To szybka śmierć. Niewiele z tego zauważy. Poza tą jedną jest jeszcze wystarczająco wiele innych opcji.

Otwieram laptopa i ponownie oglądam jej filmik na Instagramie. Lotte Bonnet stoi przy stalowym blacie w białym kuchennym fartuchu zarzuconym na kolorową spódnicę. Łyżeczką wybiera z białej miski odrobinę płynnej czekolady i wkłada ją sobie do ust. Z uwodzicielskim uśmiechem zlizuje słodkość, a następnie mówi po niderlandzku coś, czego nie rozumiem. Potem zbliża szczupłe palce do pojemniczków z przyprawami. Jej ruchy są jednocześnie szybkie i opanowane. Gdy mówi, wszystko się porusza. Ta kobieta jest pełna sprzeczności. Ma w sobie coś buntowniczego, z tym swoim żwawym krokiem, długimi kasztanowymi kręconymi włosami i cygańskimi

spódnicami. Jest ucieleśnieniem artystki. Nieprzystosowana, ma figlarny wyraz twarzy, kiedy mówi do kamery. Porusza się szybko i zwinnie po swojej pracowni. Widać, że jest pełna temperamentu. Tej nocy śniłem, że siedziała na mnie i jęczała, a jej długie loki opadały mi na twarz. Kiedy się obudziłem, stał mi na baczność.

Szybkim ruchem zamykam laptopa. Nie, nie powinienem oglądać tych filmików. To nierozsądne. Muszę zachować dystans.

**Lotte idzie śladami męża  
szlakiem Via Podiensis  
z Le Puy-en-Velay do Conques**

# **DZIEŃ 1**

Piątek 26 lipca

Przygotowanie

„Być może całe życie jest zaledwie długim przygotowaniem do chwili, w której się z nim rozstajemy”.

John Banville, irlandzki pisarz (1945-),  
tłum. Jerzy Jarniewicz

## LISTA NIEZBĘDNYCH RZECZY NA CAMINO

### ODZIEŻ

- 1 x buty trekkingowe (na sobie)
- 1 x wiatrówka wodoodporna z podpinką (w razie zimna)
- 1 x polar (w razie zimna)
- 1 x krótkie spodenki (na sobie)
- 1 x długie spodnie z odpinanymi nogawkami
- 2 x szybkoschnąca koszulka (1 na sobie, 1 na zmianę)
- 1 x lekka sukienka na czas wolny
- Ręcznik szybkoschnący z mikrofibry rozmiar M
- 3 pary skarpet: 2 długie, 1 krótkie (1 para na sobie, 2 na zmianę)
- 2 x biustonosz sportowy (1 na sobie, 1 na zmianę)
- 3 x majtki sportowe (1 na sobie, 2 na zmianę)
- Klapki pod prysznic i dla odpoczynku stóp
- Lekkie ponczo *Pomarańczowa peleryna Stefana* przeciwdeszczowe
- Kapelusz przeciwsłoneczny  
*Wrzucić na smartfona 3 zdjęcia, które Emil zabrat ze sobą z Bośni*

### KOSMETYKI

- Szczoteczka i pasta do zębów, dezodorant, paracetamol
- Krem Nivea 100 ml (na dzień i noc)
- 2 x minikrem przeciwsłoneczny SPF 50
- Minispray przeciw owadom
- Pomadka ochronna z SPF
- Składana szczotka do włosów
- Pęseta
- Miniobcinacz z pilniczkiem
- Środek dezynfekujący, np. Betadine (mini)
- 2 silikonowe pojemniki podróżne na płyny
- Tampony
- Mydło w mydelnicze
- Suchy szampon (mini)
- Gumka do włosów
- Stopery przeciw chrapaniu
- Plastry Compeed w różnych rozmiarach  
*Szminka i tusz do rzęs*

### POZOSTAŁE

- Saszetka biodrowa na telefon, dowód, prawo jazdy, pieniądze, paszport pielgrzyma
- Latarka czołowa *Latarka ze stajni*
- Kijki trekkingowe
- Okulary przeciwsłoneczne
- Dokument z ważnymi informacjami i kopie paszportu
- Minitaśma naprawcza Duct
- Telefon, ładowarka i powerbank
- Podwójna ładowarka USB
- Lekka torba na zakupy z nylonu
- Torebki strunowe
- 8 spinaczy do bielizny
- 2 małe karabińczyki
- Chusteczki higieniczne
- Zestaw sztućców podróżnych
- Wkładka do śpiwora
- Lekkie przekąski *20 tabletek czekolady własnej roboty*
- Mapa szlaku (w razie braku zasięgu)
- 2 x butelka 500 ml do napełniania wodą
- Gwizdek alarmowy z kompasem
- Szczyrzyk *do kupienia w Le Puy*

## **Dzień 1: piątek 26 lipca rano**

### **Vijlen, Holandia: lista niezbędnych rzeczy na Camino**

Zachmurzenie duże, przelotny deszcz, silny wiatr, 20°C

Przeglądam leżące na moim łóżku sterty ubrań i ponownie sprawdzam listę niezbędnych rzeczy na Camino: „Zasada dotycząca ciężaru bagażu brzmi: dziesięć procent własnej wagi”. Rzeczywiście tak tu jest napisane i wszyscy eksperci są co do tego zgodni: nie więcej niż dziesięć procent swojej wagi w plecaku, inaczej nie dasz rady. Hm... Na łóżku leży ponad trzysta kilo, a moje maksimum to sześć i pół. Muszę dokonać wyboru.

Waham się, czy wziąć ze sobą tablet. Mam w nim raporty dotyczące wojny w Bośni, ale mogę je też czytać na smartfonie. Ponownie spoglądam na stertę rzeczy, podnoszę tablet z ładowarką, ważę go w rękę i odkładam na lewą stronę łóżka. Każdy przedmiot, który tam trafi, zostaje w domu.

Widzę, że mam wszystko, co potrzebne, z wyjątkiem scyzoryka. Kupię go w Le Puy-en-Velay. Kiedy sprawdzam

listę, myślami jestem przy nożu myśliwskim, którym Emil odebrał sobie życie. Nie było go wśród przedmiotów zwróconych przez francuską policję. Na szczęście, bo nie wiem, co bym zrobiła, gdybym natknęła się na to narzędzie zbrodni w przesyłce. Znajdowała się w niej pięknie wykonana pochwa na nóż, ale natychmiast ją wyrzuciłam. Teraz tego żałuję, bo może zawierała jakieś wskazówki na temat jego pochodzenia. Tak, nie raz zdarza mi się zrobić coś nierozsądnego pod wpływem impulsu.

Wzdycham i podnoszę z podłogi granatowy plecak Emila. Gładzę białą muszlę Świętego Jakuba przymocowaną czerwoną tasiemką do paska na ramię. Kupił ją 27 lipca zeszłego roku, w dniu przyjazdu do Le Puy-en-Velay. To prowadzi do kolejnego pytania: czy jutro kupię własną muszlę, czy zatrzymam tę jego? Drapię bąbel po ukąszeniu komara na rękę. Nie, kupię własną. Nie idę na żadne kompromisy. Zrobię wszystko jak Emil. W ten sposób będę miała podczas tej wędrówki poczucie, że jestem tak blisko niego, jak to tylko możliwe. Pójdę więc jutro o 18.47 do Le Coin w centrum Le Puy-en-Velay.

Łapię za nożyczki, przecinam czerwoną tasiemkę i wacham muszlę. Czuć ją czymś sztucznym – jej zapach przypomina odór ubrań po pralni chemicznej. Zdecydowanym ruchem wciskam muszlę do przepełnionego worka na śmieci, po czym zawiązuję go i ustawiam w korytarzu obok reszty rzeczy przeznaczonych do wyrzucenia.

Włączam światło, bo na dworze jest smutno i ponuro. Krople deszczu uderzają o szybę i spowijają otoczenie burą zasłoną. Wzgórza naprzeciwko przybrały szare, rozmazane formy. Gdy w zeszłym roku Emil pakował plecak, też była brzydka pogoda. Siedziałam na naszym

łóżku i śledziłam jego ruchy. Podszedł do mnie, chwycił mnie i zaczął łachotać, a ja chichotałam.

Podnoszę plecak Emila. Czy mam z niego skorzystać, czy lepiej kupić po południu nowy? Trzymam go w powietrzu, majstruję przy suwakach i sprawdzam kieszenie. Jest bardzo drogi, markowy, a Emil używał go zaledwie przez dwa tygodnie. Gdy zwróciła go mi francuska policja, nie było na nim śladów krwi, ale i tak zaniiosłam go do czyszczenia. Po raz kolejny zakładam go na plecy. Jest wygodny. Tak, zostanę przy swojej decyzji i przejdę Camino z tym plecakiem. Nie mogę sobie pozwolić na rozrzutność. I zapakuję do niego to, co zawiera oficjalna lista niezbędnych rzeczy na Camino, czyli żadnych szpilek, spódniczek, makijażu, suszarek do włosów, lakierów do paznokci – nic z tych rzeczy. Przez kolejnych kilka tygodni nie będę kobietą, tylko pątniczką. Dam radę. To musi mi się udać.

Kiedy układam dwie sterty: jedną z rzeczami, które zabieram, a drugą z tymi, które zostają, mój wzrok pada na dwa zdjęcia, które Emil wziął ze sobą, uciekając z Bośni. Powiesiłam je tutaj dopiero po jego śmierci, na ścianie upamiętniającej nasze najpiękniejsze chwile. Emil nie chciał ich tu oglądać, bo przypominały mu o utraconym świecie. Kiedy żył, leżały w szufladzie jego biurka, gdzie kilka lat temu znalazłam je przez przypadek, szukając swojego paszportu. Były w brązowej kopercie. Na jednym z nich widać trzech chłopców na tle wodospadu. Emil, ten w środku – tak opowiadał – miał wtedy dziesięć lat. Dzieci to maleńkie figurki stojące na otoczkach, w pobliżu których rozsypaliśmy prochy Emila. Fotografowi zależało chyba przede wszystkim na uchwyceniu wodospadu, bo to on dominuje na fotografii. Twarzy chłopców nie da się rozpoznać. Drugie zdjęcie to wakacyjna

fotka wyjątkowo ładnej dziewczynki o brązowych włosach, która nosi modną białą sukienkę i opiera się o kamienny mur. Ma jakieś czternaście lat i rozmarzona wpatruje się w dal. W tajemnicy przed Emilem oprawiłam zdjęcia i podarowałam mu je na urodziny. Rozpłakał się, gdy je rozpakował, i wyznał, że dziewczyna była jego nastoletnią miłością i że już nie żyje. Od płaczu cały się trząsł. Objęłam go i obiecałam sobie, że już nigdy nie zapytam go o jego młodość.

W tej samej szufladzie leżało jeszcze jedno zdjęcie w formacie A4, które wisi teraz w mojej pracowni. Pokazuje ono czarny prawosławny krzyż z żelaza, stojący na opustoszałym płaskowyżu. Na krzyżu siedzi szary sokół, a obok stoi czarne jagnię. Oba zwierzęta patrzą prosto w obiektyw. Obraz ma w sobie coś groźnego i fascynował mnie od momentu, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Zaczęło mi świtać, że za tym zdjęciem może kryć się polityczne przesłanie, dopiero po tym, jak odowiedziałam Bośnię i przeczytałam *Black Lamb and Grey Falcon* Rebekki West. „Czarne jagnię i szary sokół” – Brytyjka napisała tę książkę podczas podróży do Jugosławii w 1937 roku. Ostrzega w niej przed rodzącym się faszyzmem. Emil powiedział mi, że nie chce oglądać tego zdjęcia, ponieważ przypomina mu ono o tragedii. Podczas drugiej wojny światowej przy tym krzyżu zamordowano kobiety i dzieci. Zawiedziona zawinęłam oprawione zdjęcie z powrotem w papier podarunkowy, a potem powiesiłam w swojej pracowni w kącie, w którym się przebierałam, a do którego Emil nie zaglądał.

Mój wzrok przesuwają się po licznych fotkach cudownych chwil naszej rodziny i zatrzymuje się na zdjęciu mojej kochanej kuzynki Marjo na plaży. Byłyśmy

nierozłączne: dwie kuzynki i dwie najlepsze przyjaciółki. Urodziłyśmy się w tym samym tygodniu w kwietniu 1975 roku, tu, w tym gospodarstwie. Ja byłam niespodzianką: moi rodzice mieli już grubo po czterdziestce, kiedy im się przytrafiłam. Rozwiedziona i niestabilna emocjonalnie ciotka Annie też mieszkała tutaj z Marjo. Tata przerobił stajnię na mieszkanie dla nich obu, obok naszego domu, który znajdował się w głównym budynku. Marjo i ja wychowywałyśmy się jak siostry, ale byłyśmy swoim całkowitym przeciwieństwem. Marjo wszystko analizowała, była niezwykle inteligentna i z łatwością skończyła elitarne liceum – ja miałam trudności z nauką i ledwo przeszłam zawodówkę. Marjo poszła na politechnikę, z wyróżnieniem obroniła pracę magisterską i została chemiczką, a ja zrobiłam kurs cukierniczy i zaczęłam przygodę z czekoladą. To zdjęcie wyjątkowo trafnie ilustruje różnicę naszych charakterów.

Zrobił je tata pewnego letniego dnia na plaży w Domburgu, gdy miałyśmy osiemnaście lat. Stoimy obok zamku z piasku. Marjo pozuje w obcisłej różowej sukience, nie nosi żadnej biżuterii, a ja mam na sobie kwiecistą cygańską spódnicę i obwieszona jestem sznurami koralu, naszyjnikami i bransoletami. Tata powiedział, że widać nasze pokrewieństwo. Może to prawda, ale żeby je zobaczyć, trzeba było przyjrzeć się szczegółom. Faktycznie: obie byłyśmy wysokie i szczupłe. Delikatną budowę odziedziczyłyśmy po przodkach z rodziny Bonnetów, podobnie jak duże błękitne oczy, lecz Marjo miała po tacie miękkie złote włosy, a ja – po mamie – niesforne kasztanowe loki. Nasze twarze też były zupełnie inne: Marjo miała pociągłą twarz i ostre rysy. Moja twarz ma trójkątny kształt z mocno zarysowanymi, czarnymi jak smoła brwiami, małym nosem, pełnymi ustami i nieco

szelmowskim wyrazem. Kiedy byłam nastolatką, koleżanki twierdziły, że jestem ciemnowłosą wersją Meg Ryan z filmowego hitu *Kiedy Harry poznał Sally*. Było w tym ziarnko prawdy i na zdjęciu też rozpoznaję ten swój nieokiełznany charakter, który torował sobie drogę od najmłodszych lat. Podczas gdy Marjo grzecznie bawiła się w kojcu klockami, ja próbowałam wydostać się z naszego drewnianego więzienia, co mi się zresztą udało dzięki temu, że użyłam jej pleców jako podpórki. I gdy ona w podstawówce posłusznie słuchała nauczycieli, ja nieustannie psociłam. Kiedy ja w wieku dwudziestu lat odbywałam praktyki kucharskie na statku wycieczkowym linii Holland-Amerika i podróżowałam po świecie, Marjo prowadziła badania nad witaminami w uczelnianym laboratorium. Pisała do mnie długie listy, w których opowiadała, jak wielką przyjemność czerpie z pracy w otoczeniu probówek i komór klimatycznych. Czytałam jej epistoły w portach, do których zawijał nasz statek, i cieszyłam się z jej nudnych odkryć na kwadratowym nanometrze. Ja donosiłam jej przede wszystkim o swoich niezliczonych romansach, bo w tamtym czasie często przechodziłam z jednych ramion do drugich. W przeciwieństwie do mnie Marjo pozostała dziewicą i czekała na tego prawdziwego. Aż ten się zjawił pewnego wiosennego dnia w Akwizgranie w osobie Polaka, Paula, a raczej Pawła, Müllera.

Znowu zbiera mi się na płacz. Scenka na plaży wyraźnie ukazuje spokojną Marjo obok żywiołowej Lotte. Marjo uśmiecha się niczym Mona Lisa z rękami skromnie złożonymi na podołku, a ja śmieję się od ucha do ucha i wyrzucam w górę ramiona. Wzajemnie się we wszystkim uzupełniałyśmy. Mimo to nie udało mi się zapobiec temu, że jej duszę zalały ciemne emocje. Podobnie jak

ciocia Annie, Marjo cierpiała na depresję i wszystkiego się bała. Lęki zaburzały nieraz jej obraz świata. Nie popełniła jednak samobójstwa z powodu demonów w swojej głowie, tak jak ciocia Annie w roku, w którym Marjo miała skończyć dwadzieścia pięć lat, lecz uległa wypadkowi wkrótce po narodzinach córki Caroline, gdy wbrew zaleceniom siadła za kierownicę po zażyciu antydepresantów.

Na schodach słychać ciężkie kroki. O wilku mowa... to Paweł.

– Hej, Lotte! – mówi, wchodząc do sypialni.

Jego piwne oczy wyrażają troskę. Nie podoba mu się, że chce sama – będąc kobietą – przejść Camino. Jeszcze dziś rano zwrócił mi uwagę na artykuł o Amerykance, która w zeszłym roku została zamordowana na trasie pielgrzymki przez Hiszpanię. Mówi o „kuszeniu losu” i „szukaniu guza”. Poza tym nadal jest rozczarowany, że w niedzielę nie polecę z nim i Caroline na Florydę. Po dróż zarezerwował już w okresie karnawału i Caroline od miesiący nie rozmawia o niczym innym. Rozpląkała się, kiedy powiedziałam, że z nimi nie lecę, a jeśli Paweł czegoś nie może znieść, to tego, jak jego mała księżniczka zalewa się łzami. Ja się jednak nie ugnę, bo muszę zamknąć swój okres życia z Emilem. Znam zresztą Caroline na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że zapomni o całym smutku, jak tylko zacznie zwiedzać z Pawłem Disneyland. Każdego lata spędza z nim kilka tygodni wakacji i oboje to lubią.

– W korytarzu stoją worki. – Wskazuję na drzwi. – Te z białymi naklejkami mają trafić do sklepu z używanymi rzeczami. W nich są ubrania. Resztę można zawieźć do punktu zbiórki odpadów.

– Okej!

Paweł przygląda się leżącym na łóżku przedmiotom.

- I to wszystko ma się zmieścić do tego plecaka? -  
upewnia się.

- Nie, muszę wybrać. Według tej listy. - Pokazuję le-  
żący na komodzie wydruk.

- Aha!

Paweł siada na łóżku, po mojej stronie, na tym samym miejscu, gdzie siedziałam w zeszłym roku mniej więcej o tej samej porze na chwilę przed tym, jak Emil i ja po raz ostatni się kochaliśmy. Gdybym wiedziała, że to nasz ostatni raz, byłabym bardziej uważna. Pamiętam jedynie swoją obawę, że usłyszy nas Caroline z koleżankami. Powiedziałam, żeby był cicho, i położyłam mu dłoń na ustach. Seks w ciągu dnia, kiedy dzieci są w domu. Kto tak robi? Emil roześmiał się i zaczął mnie całować, ale byłam tak zestresowana, że wszystko odbyło się jakby obok mnie. Ostatni raz z moim mężem. Z Emilem Juki-  
ciem, który w rzeczywistości był kimś innym. Zdradził mnie przez swoje oszustwo. Bo czy człowiek, który opowiada kłamstwa o własnej tożsamości, nie kłamie na temat wszystkiego? Znowu ogarnia mnie złość i ledwo się powstrzymuję, żeby czegoś nie kopnąć.

Kim był? Dlaczego przyjął nazwisko zmarłego? Przecież musiał wiedzieć, że prawdziwy Emil Jukić leży w masowym grobie. Nie kradnie się tożsamości żyjącej osoby podczas procedury o azyl. Istnieje zbyt wielkie ryzyko, że ktoś to odkryje. Kim był mój mąż? Dezerterem? Osobą uciekającą przed mafią? Przestępcą wojennym? Nie, mordercą naprawdę nie mógł być. Emil był dobrym człowiekiem, kochającym ojcem i mężem.

Paweł wstaje i patrzy na ścianę ze zdjęciami naszej rodziny. Zdejmuje z haczyka zdjęcie ze mną i z Marjo.

- Była taka kochana - szepcze.

– Tak, Pawle. – Przyjacielsko poklepuję go po ramieniu. – Ale masz jeszcze Caroline. Jest bardzo podobna do Marjo.

– Tak, na szczęście.

Paweł gładzi palcem spokojną twarz Marjo. Staję przy nim i oglądam pozostałe zdjęcia. Ja na wszystkich się śmieję, a Marjo tylko na jednym: na ich ślubnej fotografii. To była miłość od pierwszego wejrzenia, między nią a Pawłem. Wiosną 1997 roku byłam świadkiem tego, jak Kupido wycelował i jednym strzałem trafił. Marjo i ja usiadłyśmy w ogródku naszej ulubionej knajpki przy rynku w Akwizgranie z widokiem na katedrę i piłyśmy rivellę. Opowiadała o procesie stygnięcia czekolady – podzuciłam jej ten temat, ponieważ w tym okresie zaczęłam eksperymentować z kakao. Gdy wspomniała o dodawaniu alkoholu, zza chmur wyszło słońce i oświetliło jej blond włosy. Marjo wyciągnęła rękę w stronę torebki po okulary przeciwsłoneczne i nagle zamarła. Coś przyciągnęło jej uwagę. Zobaczyłam, że do wolnego stolika obok podchodzi dwóch atrakcyjnych młodych mężczyzn. Obaj wyglądali na południowców: mieli czarne brwi, ciemne włosy i brązowe oczy. Włosi w Niemczech? Jeden był wysoki, szczupły, z szerokimi barami i szedł swobodnym krokiem. Drugi, niższy i krępy, miał bardziej toporne ruchy. Oczy Marjo rozbłysły i nie mogła ich oderwać od rosnącego mężczyzny. Paweł przystanął i utkwiał w niej wzrok. Wyglądało to tak, jakby jakaś wróżka zamroziła jego ciało magiczną różdżką. Emil podszedł bliżej i usiadł obok nas, a Paweł poszedł w jego ślady.

Obserwowałam twarz Emila, gdy złapał za kawiarniane krzesło. Przez jego prawy policzek biegła czerwona linia, jakby narysował tam szminką grubą kreskę. Przypominał Indianina na wojennej ścieżce. Jego kanciasta twarz

i wąskie usta potęgowały to wrażenie. Już tamtego popołudnia spytałam, skąd ją ma. Emil odpowiedział, że to pamiątka wojenna, ale nie wdawał się w dalsze szczegóły. Dopiero później, gdy się zaprzyjaźniliśmy, opowiedział mi po długich naciskach, że to blizna po ranie postrzałowej, którą odniósł podczas wojny w Bośni. Nie udzielił mi więcej informacji. W młodości zakrywał ją czasem podkładem, dzięki czemu prawie nie rzucała się w oczy. Na naszych ślubnych zdjęciach ta czerwona kreska to zaledwie cień, który podkreśla jego wyraźną kość policzkową. Gdy zachorował, przestał ją ukrywać, jakby pogodził się z widocznymi śladami swojej przeszłości.

No więc gdy Paweł i Emil zbliżali się do nas w zalanym słońcem ogródku kawiarni w Akwizgranie, Paweł i Marjo natychmiast zapalali do siebie uczuciem. Drżącymi palcami Marjo włożyła okulary przeciwsłoneczne. Wzięła do ręki kartę dań i udawała, że ją studiuje. Jej policzki oblał silny rumieniec. Paweł usiadł i gapił się na Marjo – przestał dopiero wtedy, gdy Emil go szturchnął i zapytał o coś po niemiecku. To Emil podjął inicjatywę i zagaił rozmowę. Spytał mnie, skąd jesteśmy. Domyślił się, że z nas dwóch to ja jestem tą gadatliwą, i nie minęło zbyt wiele czasu, a panowie odwrócili swoje krzesła i siedzieliśmy wszyscy przy jednym stole. Okazało się, że nie są żadnymi Włochami. Paweł był Polakiem i pochodził ze Śląska, gdzie nadal mieszka niezbyt liczna mniejszość niemiecka, a Emil pochodził z Bośni i Hercegowiny. Poznali się przy przebudowie restauracji w Akwizgranie. Paweł kładł cegły, a Emil tynk. Od razu się ze sobą zaprzyjaźnili. A Marjo i Paweł jeszcze tego samego dnia zostali parą.

Cioci Annie Polak nie przypadł do gustu i próbowała sabotować ich związek, co jej się nie udało i jeszcze przed

upływem roku Marjo wyszła za Pawła. Moi rodzice nigdy nie poznali Emila. Gdy go spotkałam, prowadziłam gospodarstwo z kuzynem, który tego samego roku wyjechał do Australii, żeby tam założyć własną farmę. Nie wiedziałam, co robić, ale Emil wiedział. We wszystkim mi pomagał i z biegiem czasu nasza przyjaźń przerodziła się w głębsze uczucie. Wzięliśmy ślub, kiedy okazało się, że zaszłam w nieplanowaną ciążę. Żadne z nas nie podchodziło ze zbyt wielkim entuzjazmem do pracy na roli, dlatego po narodzinach Stefana postanowiłam dać sobie spokój z prowadzeniem gospodarstwa. Sprzedałam maszyny i wydzierżawiłam ziemię rolnikowi z Vijlen, po czym na farmie zapanowała cisza, obory opustoszały, co umożliwiło inny rodzaj działalności.

W tym samym okresie firma Pawła w branży nieruchomości przeżywała gwałtowny rozwój. Przed wyjazdem ze Śląska w 1992 roku Paweł – niedoszły absolwent ekonomii – pracował jako budowlaniec we Wrocławiu, a do Akwizgranu przyjechał w odwiedziny do przyjaciela i tam już został. Ciężko harował, zaciskał pasa i wreszcie kupił rudę w mieście, odremontował ją w wolnym czasie i wynajął pokoje studentom. Za wpływy z czynszu kupił kolejną kamienicę i jeszcze jedną, i następną. Emil został menedżerem projektu w firmie Pawła. Ściśle ze sobą współpracowali. Paweł brał na siebie finanse i był mózgiem przedsięwzięcia. Emil kontrolował księgowość i pełnił funkcję kierownika do spraw planowania. I choć Emil był zatrudniony przez Pawła, nie wydaje mi się, żeby hierarchia odgrywała jakąkolwiek rolę w ich stosunkach. To z pewnością zasługa Caroline.

Kieruję wzrok na zdjęcie Marjo i Pawła z ich małą córeczką. Oboje, pełni szczęścia, patrzą z uwielbieniem na swoje słodkie niemowlę. Caroline przyszła na świat

dopiero po dziesięciu latach zabiegów medycznych. Radość z jej narodzin trwała jednak krótko, ponieważ dwa miesiące później Marjo zginęła w wypadku. Paweł nie mógł pogodzić się z jej śmiercią i popadł w depresję. Pod moim naciskiem przeprowadził się do nas i zajął mieszkanie, w którym wcześniej mieszkały ciocia Annie i Marjo. Ja wzięłam na siebie opiekę nad Caroline i poczułam się, jakbym była jej matką. Z biegiem lat Caroline stała się ulubienicą wszystkich czterech mężczyzn zamieszkujących gospodarstwo, gdyż nie tylko Paweł uwielbiał naszego złotowłosego aniolka, ale także Emil, Stefan i Joran próbowali odgadnąć każde jej życzenie. Mimo to Caroline najchętniej przebywała i nadal przebywa ze mną. W każdej wolnej chwili szuka mojego towarzystwa. Pomaga mi w czekoladowych kreacjach i zagaduje mnie przy tym na śmierć.

Po śmierci Marjo Paweł już z nikim na stałe się nie związał, rzucił się w wir pracy i zbił fortunę na nieruchomościach. Emil zdradził mi, że Paweł od czasu do czasu spotyka się z kobietami. Wszystkie to wysokie, szczupłe blondynki. Poczulałam współczucie do Pawła, gdy o tym usłyszałam.

Przyglądam się zbliżeniu Emila, mężczyzny, którego żoną byłam ponad dwadzieścia lat, a o którym, jak się okazało, tak niewiele wiem.

– O czym myślisz? – pyta Paweł.

Wzruszam ramionami.

– O tym, że samobójstwo Emila ma związek z jego przeszłością. Z czymś, o czym nie wiem. Coś musiało się wydarzyć w drodze do Santiago de Compostela. Czuję to.

Paweł się cofa. Marszczy czoło w typowy dla siebie sposób.

– Czujesz to. – W jego głosie słychać ironię.

– Tak, Pawle – rzucam zniecierpliwiona i odwracam się w kierunku stert ubrań na łóżku. – A teraz muszę się dalej pakować. Odbierzesz Caroline? Przy okazji znieś na dół te worki.

– Tak jest, szefowo! – odpowiada, podchodząc do drzwi i łapiąc za klamkę. – O której będzie kolacja?

– O szóstej. Powiedz Caroline, że przygotuję jej ulubione danie: spaghetti à la Lotti!

– Na ostatnią wieczerzę!

– Przestań mnie naciskać! – Otwieram suwak plecaka Emila. – Zamierzam przejść Camino, czy ci się to podoba, czy nie.

Paweł mruży coś pod nosem, wychodzi na korytarz, a ja słyszę szelest worków na śmieci. Zawsze robi to, o co go poproszę. Po śmierci Emila nasza przyjaźń jeszcze bardziej się zacieśniła. Paweł był pierwszą osobą, do której zadzwoniłam, gdy odkryłam kradzież tożsamości przez Emila. Przez godzinę wisieliśmy na telefonie: ja przy pustym biurku w hotelu Ibis w Sarajewie, a on na kwicistej kanapie w moim salonie. Początkowo był całkiem zbity z tropu, tak jak ja kilka godzin wcześniej, ale wziął się w garść i zaczął zadawać konkretne pytania. Skąd wzięłam tę informację? Czy mogłam być tego pewna? Jak to możliwe, że Emilowi udało się przejść w Niemczech procedurę azyłową? Czy ktoś się czasem nie pomylił? Kiedy dotarło do niego, że Emil Jukić naprawdę został zamordowany w 1995 roku przez bośniackich Serbów i że w 2017 roku jego szczątki zostały zidentyfikowane na podstawie DNA, zapadła chwila ciszy. Spytał, czy zamierzam powiedzieć o tym chłopcom, na co odpowiedziałam, że z tym wolałabym jeszcze poczekać. Najpierw chciałam poznać całą historię, żeby zdecydować, jak tę wiadomość przekazać Stefanowi i Joranowi.

Paweł uważnie słuchał, gdy rozważałam wszystkie argumenty za i przeciw. Ludzie, którzy w czasie wojny uciekają z kraju i przyjmują inną tożsamość, nie robią tego przypadkiem. Mają ku temu jakiś powód. Może był ważnym świadkiem zbrodni wojennych i obawiał się zamachu na swoje życie? W tamtych latach często zdarzały się likwidacje świadków. A może sam popełnił zbrodnię? Mógł też być dezerterem, prawda? Jego powód, by popełnić oszustwo, był tak czy siak poważny – przecież nie kłamie się ot tak przez ćwierć wieku na temat własnej tożsamości. W tej fazie Paweł i ja powinniśmy to jeszcze zachować dla siebie i nikomu o tym nie mówić. Argumentowałam, że tak też radził Omer Zečinić, mój adwokat.

Paweł rozumiał mój punkt widzenia i go popierał. Dopóki nie dowiemy się, kim w rzeczywistości był Emil, nie ma sensu wywracać do góry nogami życia chłopców.

Wykończona zawlekłam się do łóżka w pustym pokoju hotelowym w Sarajewie i trzęsąc się, weszłam pod kołdrę. Tak, kłamstwo Emila nie może jeszcze wyjść na jaw i to nie tylko ze względu na moich synów. Omer Zečinić również uznał zachowanie tajemnicy za rozsądniejsze. Powiedział, że w przeszłości członkowie rodzin zbrodniarzy wojennych i mafiosów padali ofiarami gróźb i porachunków. Najpierw musimy się dowiedzieć, dlaczego Emil przyjął tożsamość martwej osoby, i upewnić się, że naszej rodzinie nie grozi niebezpieczeństwo.